

Christopher Beckwith, *Imperia Jedwabnego Szlaku. Od epoki brązu do czasów obecnych*, przeł. T. Fiedorek, PIW, Warszawa 2020, ss. 503.

Opublikowana przed dwoma laty w renomowanej serii wydawniczej „Rodowody Cywilizacji” książka Christophera Beckwitha jest pierwszą pracą tego autora, która ukazała się w języku polskim. Szkoda jednakże, że jej premierę dosyć słabo udokumentowano, ale wynika to zapewne z trudów wywołanych przetaczającą się wówczas przez świat pandemią, która poniekąd zmusiła nas do przeniesienia znakomitej większości aktywności do sfery wirtualnej.

Autor, profesor historii z Indiana University, podjął się bardzo trudnego i wymagającego zadania, jakim bez wątpienia jest nakreślenie portretu Eurazji (oczywiście niecałej) w sposób interdyscyplinarny, a to za sprawą wykorzystania wiedzy i dorobku badaczy z takich dyscyplin jak historia, antropologia, etnografia, geografia, w tym geografia polityczna. Jak jednak napisał we wstępie: „W związku z tym [tzn. przyjęciem szerokiej perspektywy analitycznej – przyp. KM] niniejsza książka generalnie nie skupia się w większym stopniu na którymkolwiek z poszczególnych tematów, osób, organizmów politycznych, okresów czy kultur (ani nawet na zagadnieniu kompleksu kulturowego centralnej Eurazji, który zasługuje na odrębną książkę), może poza kilkoma, które szczególnie mnie interesują. Nie jest to również wyczerpujący spis wydarzeń, imion i dat, chociaż uważny czytelnik dostrzeże, iż starałem się dostarczyć takich informacji w odniesieniu do wszelkich istotnych wydarzeń i ludzi, nawet jeśli czasami musiałem zadać sobie sporo trudu, żeby je odnaleźć. Wreszcie nie jest to studium źródłoznawcze ani opatrzona wyczerpującym komentarzem bibliografia” (s. 8), dodając zarazem, że: „Ta książka nie popada jednak również w drugą skrajność. Nie jest to żadna ogólna teoria historii i nie było moim zamiarem sugerowanie tutaj jakiegokolwiek teorii tego rodzaju” (s. 9).

To moim zdaniem bardzo dobrze świadczy o autorze. Uprzedza z góry czytelników, że o ile spodziewali się monografii omawiającej pojedyncze zagadnienie, to takiej pracy nie otrzymują.

Uwzględniając zaś podjęty temat historii Eurazji, mogę zupełnie spokojnie stwierdzić, że takie pozycje już powstały, zarówno w okresie przed zmianami geopolitycznymi z przełomu lat 80. i 90. zeszłego stulecia, jak również później. Dobrym przykładem jest chociażby monografia Edwarda Thompsona poświęcona plemieniu Hunów, notabene także wydana w serii ceramowskiej przed kilku już laty (konkretnie w 2015 r.).

O Hunach wspomniałem, ponieważ i oni pojawiają się na kartach książki Christophera Beckwitha. Myślę, że ich kasus może być ciekawy, tym bardziej że ich losy splotły się z dziejami Imperium Rzymskiego, zarówno w jego części wschodniej, jak i zachodniej. Otóż według narracji Beckwitha: „Okolo 370 roku Hunowie pod wodzą Balambera (lub Balimbera, dowodzącego Hunami ok. 370–376 n.e.) wkroczyli na właściwy Step Pontyjski. Jest wielce prawdopodobne, że ich ruch stanowił reakcję na jakiś atak ze strony Hermanaryka, który dążył wówczas do utworzenia na tamtym obszarze imperium ostrogockiego. Hunowie parli na zachód, miażdżąc Alanów i Ostrogotów w 375 roku, kiedy to Hermanaryk popełnił samobójstwo” (s. 121). Tu dochodzimy do momentu swoistego spotkania Wschodu z Zachodem: „Rok później, uciekając przed Hunami, Wizygoci (Terwingowie) pod wodzą Fritigerna (przewodzącego im w latach 376–378 n.e.) poprosili Rzymian o udzielenie im schronienia” (s. 121), jednak znacznie poważniejsze wydarzenie zaistniało kilkadziesiąt lat później, w 451 r.: „W tej sytuacji [tj. zaniechania płacenia trybutu przez Rzym – przyp. KM] Attyla, który po śmierci swego brata okolo 445 roku został jedynym władcą imperium huńskiego, wbrew oczekiwaniom najechał w odwecie wschodnie cesarstwo rzymskie. Zyskał również powód czy też pretekst do najechania zachodniego cesarstwa rzymskiego, gdy otrzymał list od Honorii, siostry Walentyniana III (panującego w latach 425–455), do którego dołączony był jej prywatny pierścień. Brat kazał stracić jej kochanka, a ją samą uwięzić, dlatego Honorii prosiła Attyłę o pomoc. [...]” (s. 124).

Wymaga to moim zdaniem kilku słów komentarza. Po pierwsze, istotnie, co także podkreślił Beckwith, na temat owego tajemniczego Balambera nie wiadomo niemal nic. Po drugie, Step Pontyjski zlokalizowany jest w basenie Morza Czarnego, a zatem wędrówka Hunów na kontynent objęła co najmniej kilka tysięcy kilometrów. Po trzecie, ten

okres to już jest zmierzch świetności Imperium Rzymskiego (by przywołać tu pamiętne określenie Edwarda Gibbona), a przynajmniej jego zachodniej części. Kolejna kwestia to wspomniany trybut – była to podówczas nieomal zwyczajowa praktyka zapewniania pewnego minimum stabilności wewnętrznej. Wreszcie w tamtych latach niemal nikogo nie dziwiły praktyki w rodzaju skrytobójstw czy nawet zabójstw, dokonywanych w arystokratycznych rodach lub wśród elit politycznych czy społecznych. I na sam koniec można dodać, że wprawdzie przeminęło Imperium Rzymskie, ale i przeminęło Imperium Hunów. Po obu z nich pozostały relikty materialne i źródła pisane – w tym drugim przypadku wiele z nich, szczególnie pochodzących bezpośrednio z tamtego okresu przetrwało niekompletnie, czemu, uwzględniając późniejszą historię Starego Kontynentu, ale i Azji, trudno się dziwić.

Innym pamiętanym plemieniem żyjącym na terenach eurazjatyckich, które do dziś wywołuje pewnego rodzaju postrach, byli Mongołowie dowodzeni przez Czyngis-chana i jego następców, dość przypomnieć (dosłowne) starcie przez nich z ziemi niegdyś zamożnego Imperium Chorezmijskiego. By jednak przybliżyć nieco plemię Mongołów, pozwolę sobie ponownie przytoczyć opis Beckwitha, pochodzenie tego ludu jest bowiem niezmiernie skomplikowane, ale zarazem oddaje charakter środkowowschodniej rzeczywistości: „Początków imperium mongolskiego należy szukać w międzyplemiennych relacjach politycznych i walkach toczonych na wschodzie Wielkiego Stepu po obaleniu Kitanów przez Dżurdzeńów. Tunguskojęzyczni Dżurdżeni, w odróżnieniu od Kitanów, nie byli ludem stepowym i nie podtrzymywali swojej obecności militarnej na stepie. Popierali natomiast najsilniejszy lud stepowy, czyli Tatarów. [...] Kiedy Kabuł-chan, stojący na czele rodu Bordżyginów, zdołał zjednoczyć konfederację mongolską, a Dżurdżenom nie udało się pozbawić go władzy, uznali oni jego pozycję jako najwyższego władcy Mongołów (w 1146/1147 roku), chociaż jednocześnie oficjalnie uważali go za swego wasala” (s. 210). Współcześnie wydaje się to jeszcze bardziej skomplikowane, niż było, ale w moim przekonaniu bardzo podobnie wyglądałoby spojrzenie przedstawicieli plemion żyjących na Wielkim Stepie, gdyby pokazano im, w jaki sposób wyglądają rotacje władzy na terenach położonych na zachód od zamieszkiwanych przez nich ziem.

Mongołowie czy Hunowie nie byli rzecz jasna jednymi mieszkańcami ogromnego obszaru nazywanego Eurazją, obejmującego takie państwa jak chociażby (przyjmując tu nazewnictwo współczesne) Polska, Białoruś, Ukraina, Rosja, Kazachstan, Chiny (ściślej Chińska Republika

Ludowa), Tybet, Pakistan, Turkmenistan, Turkiestan, Kirgistan – w skrócie Europa Środkowo-Wschodnia oraz niemal cała Azja Centralna. Mieszkali tam również Scytowie czy Turkowie. Swoją rolę odgrywali także przedstawiciele innych plemion, zwykle napływowych.

Beckwith przypomina w swej książce o Wikingach (zwanym także Waregami), którzy wykorzystywali w celach handlowych (ale i łupieżczych) rzeczne szlaki Rusi, którymi docierali m.in. do Konstantynopola. Miasto to, obecnie znane jako Stambuł, rzecz jasna nie było jedynym miejscem, do którego Waregowie pływali w celach kupieckich, równie istotne były państwa muzułmańskie na Bliskim Wschodzie. Waregowie pozostawili po sobie dość liczne ślady obecności na terenie Eurazji, zwłaszcza za naszą wschodnią granicą. „Okolo 862 roku – pisze Beckwith – trzech wikingów wodzowie, z Rurykiem na czele, założyli kaganat ruski w pobliżu Nowogrodu Wielkiego. Okolo 882 roku następcą Ruryka – Oleg podbił Kijów i uczynił z kaganatu ruskiego imperium rozciągające się od Bałtyku do Morza Czarnego”. Ich obecność na ziemiach ruskich upamiętniono także w dosyć nieoczekiwany sposób – łódź Waregów (Wikingów) stała się emblematem samochodu Łada, produkowanego na licencji Fiata od 1970 r. w Togliatti, obecnie Niżnym Nowogrodzie.

Nie wypada także zapominać o Polakach. Beckwith niestety o tym nie pisze, ale to właśnie przedstawiciele Rzeczypospolitej Obojga Narodów zdobyli Moskwę i Kreml, choć faktem jest, że wydatnie pomogło w tym wewnętrzne osłabienie Carstwa Rosyjskiego, ściślej zwanego także Wielkim Księstwem Moskiewskim, które skądinąd nie było wtedy na tamtych terenach czymś nieoczywistym. Nie miejsce tu jednak, by wdawać się w szczegóły wydarzeń, które w historiografii doczekały się nazwy „wielka smuta”, tym bardziej że istnieją już też opracowania obszernie ten temat omawiające (choćby książki profesora Andrzeja Andrusiewicza).

Omawiana książka Christophera Beckwitha napisana jest prostym językiem. Na uwagę zasługuje bogaty materiał faktograficzny prezentowany w sposób przejrzysty i logicznie spójny. Warto byłoby do jej lektury usiąść, mając obok siebie notes, by czynić na bieżąco notatki, aby nie mylić później imion władców tudzież dawnych nazw państw, a o tym, że pomylić się nietrudno, niech świadczy chociażby przywołany przeze mnie przykład etymologii i genezy Mongołów.

Kolejną zaletą książki jest bogaty dobór ilustracji. Dzięki temu Czytelniczka/Czytelnik może, przynajmniej imaginacyjnie, przenieść się w odległą przeszłość na niemal bezkresne tereny Eurazji, po któ-

rych przemieszczali się Hunowie i Chorezmijczycy, po których wędrowały kupieckie karawany podróżujące Jedwabnym Szlakiem bądź na których Waregowie toczyli krwawe walki.

Bibliografia odsyła zaś do wielu prac z najrozmaitszych dyscyplin wiedzy, powstałych w ciągu co najmniej kilkudziesięciu wieków, zaczynając od tekstów autorów starożytnych, co jest zgodne z zasadami chronologii, ale trzeba też odnotować, że część spośród tych dzieł przetrwała, choć niestety tylko fragmentarycznie, aż po publikacje najnowsze, a przynajmniej najnowsze spośród dostępnych w chwili jej oryginalnej publikacji.

Lekturę tej książki mogę polecić, ale pozwolę sobie postawić pytanie: czy powinna być ona lekturą dzienną, czy też do poduszki. Nie udzielię na nie odpowiedzi – to pozostawiam do rozstrzygnięcia Czytelniczce/Czytelnikowi. Myślę natomiast, że powinna znaleźć się w wykazie lektur, niekoniecznie od razu obowiązkowych, może nawet już na poziomie liceum lub technikum, nie wspominając o studiach, zwłaszcza na kierunkach związanych z dyplomacją, polityką czy historią.

Konrad Majkowski

Uniwersytet Gdański

ORCID: 0000-0003-1073-393X

konrad.majkowski.1997@wp.pl